



Mirosław Derecki  
LONDYŃSKIE SPOTKANIA:  
ZŁOTE RUNO

Poznałem w Londynie jednego chłopaka, nazywali go Witek-Rybak. Poznałem go przez Dzidzia (patrz pierwszy odcinek). W Warszawie Dzidzia coś studiował, zdaje się malarstwo czy historię sztuki, w Londynie pracował jako „tyrak do wszystkiego” w niewielkim przedsiębiorstwie remontowo-budowlanym. W tym przedsiębiorstwie pracował również Witek-Rybak.

Dzidzio przyjechał do Londynu na zaproszenie ciotki. Ciotka, przedwojenna starościna z województwa stanisławowskiego w Anglii pracowała ciężko od lat jako tak zwana siła fizyczna w wytwórni sprzętu turystycznego i choć darzyła siostrzeńca sporym uczuciem, wcale nie była zachwycona, kiedy Dzidzio oświadczył, że załatwił sobie roczny urlop dziekański i że ma zamiar zostać przez ten czas w Londynie, aby - jak mówił - „wejść w tutejsze środowisko artystyczne”.

Po miesiącu względnej sielanki, w której zakres wchodziło ofiarowanie młodemu człowiekowi kilku funtów na drobne wydatki oraz kupienie mu wymarzonych blue-jeansów marki „Levis-Strauss”, ciotka się zbuntowała i wyraźnie powiedziała, że kto nie pracuje, ten nie je, a to znaczy, że Dzidzio może wprawdzie mieszkać nadal i dokąd chce w jej domku, ale wikt i rozrywki musi sobie załatwiać we własnym zakresie. Inaczej mówiąc - ma iść do pracy. Na to Dzidzio oświadczył rozbijająco, że aby pracować w obcym kraju trzeba przede wszystkim znać język, a po drugie trzeba mieć „permi”, czyli pozwolenie na pracę. Na co ciotka odparła, że przy pewnych rodzajach pracy w zupełności wystarcza znajomość takich zwrotów jak: „podaj cegłę” lub „zmieszaj cement” zaś przy odrobinie dobrej woli można znaleźć pracę „po cichutku”, bo Anglicy też ludzie i lubią sobie niekiedy zaoszczędzić kilka funtów na podatkach. Ona zaś zna osobiście, jaszcz z Bilskiego Wschodu, jednego takiego dobrego człowieka, który pomaga różnym potrzebującym zatrudniając ich w swoim przedsiębiorstwie. Płaci wprawdzie trochę mniej, ale ostatecznie on ryzykuje i coś z tego musi mieć, no nie? Tylko niech sobie Dzidzio nie myśli, że w pracy będzie się mógł obijać, urywać się, leserować i jak to tam jeszcze teraz w Polsce mówią, przeciwnie, będzie musiał wykazać

się szczególnym zacięciem do roboty. Inaczej po tygodniu - forsa do ręki i „adiu-Fruziu”, jak się kiedyś, za dobrych czasów, mówiło w Stanisławowie.

Więc co niby miał Dyzio na to odpowiedzieć? Ciotka oświadczyła zdecydowanie: albo – albo. Albo praca, albo powrót do kraju. A to by był cholerny wstyd przed kumplami w Warszawie, którzy mu zazdrościli wyjazdu.

Wstaje teraz Dyzio codziennie o szóstej rano, w pośpiechu zjada śniadania, a następnie pędzi kilometr do najbliższej stacji metra. Potem, w zatłoczonym wagonie, wśród ziewających zaspanych ludzi, mknie tunelami Central Line prawie przez pół Londynu aż do Liverpool Station, wyjeżdża ruchomymi schodami na powierzchnię, zagłębia się w plątaninę ubogich uliczek w pobliżu liverpoolskiego dworca kolejowego, skręca w Middlesex Street, zwaną popularnie Petticoat Lane (ulica halek), potem skręca jeszcze raz i wchodzi w wąską, zaśmieconą Cobb Street, po której obydwu stronach wyrastają przysadziste brudne, piętrowe kamieniczki. Jedna z tych kamieniczek nie ma szyb w oknach, z wnętrza czuć stęchlizną, a na niewielkim podwórczku za domem leży żółta pryzma piasku, zaś pod skleconym ze starych desek daszkiem zmagazynowano worki z cementem. To jest właśnie dom, który remontuje macierzyste przedsiębiorstwo Dyzia.

Nie widać na podwórku betoniarki, cement miesza się łopatami, często brakuje nawet podręcznych narzędzi, bo zasadniczo pracownicy powinni posiadać własne i często zdarza się tak, że gdy któryś, zasobniejszy w młotki i świdry, jakich użyczał kolegom, odejdzie z pracy i zabierze cały swój „majdan”, robi się tragedia, szef się wścieka, a potem wsiada do furgonetki i jedzie na drugą „robotę” pożyczyć brakującą piłę, łopatę czy wiadro. Bo to nie jest wielkie, zasobne przedsiębiorstwo, stawiające betonowo-szklane bloki w śródmieściu, tylko skromna, ledwie dysząca „partaninka” byłego oficera armii brytyjskiej. I dlatego Dyzio i innym jemu podobnym facetom łatwo tutaj dostać pracę. Nawet bez „permitu”.

Dyzio spełnia swoje tyrackie obowiązki od ósmej rano do szóstej po południu, z godziną przerwą na lunch. Potem myje się wolno w rozbabranej, rozmontowanej łazience i razem z innymi pracownikami ociężałym krokiem rusza w kierunku stacji metra.

Czasami, jak szef jest w dobrym humorze i akurat mu po drodze, Dyzio wchodzi na skrzynię furgonetki i wtedy może się rozkoszować widokami Londynu. Bywa nieraz tak, że szef wybiera drogę przez elegancką Park Lane i wówczas można sobie w przelocie popatrzeć na wytworny hotel „Hilton” oraz „Rabbit-Club” gdzie przesiadują znani play-boye i gdzie w restauracji usługują podobno piękne dziewczyny w kusych bikini, przystrojone ponadto w królicze uszy i ogonki. Ale już furgonetka kieruje się w stronę wyszarzałego, robotniczego Sheperd's Bushu i tam trzeba wysiadać, tam wśród bliźniaczo podobnych domków z czerwonej cegły jest dom ciotki. Kiedy Dyzio wraca do domu jest już siódma wieczorem, kiedy się umyje i zje dinner - ósma. I właściwie tylko w czasie weekendu można pojechać do

centrum, powłóczyć się wieczorem wśród jarzących się neonami ulic, pójść do kina. zakosztować strip-teasu, wstąpić do młodzieżowej, studenckiej dyskotekt i tam próbować poderwać jakąś dziewczynę...

Tyle o Dzidziu. Z Witkiem-Rybakiem sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Dzidzia trzyma w Londynie ambicja, Witek swego czasu „wybrał wolność”. Witek pracuje na jednej budowie z Dzidziem. Tam go właśnie poznałem, tam poznałam cały „staff”: hydraulika Johna, stolarza George'a, Polaków - pana Stasia, pana Henia (byli żołnierza Drugiego Korpusu), pana Władzia (z pochodzenia hrabia, z zawodu elektryk) no i Witka (zawód - rybak dalekomorski, zawód wykonywany - murarz i lastrykarz).

Z City of London College niedaleko jest do Cobb Street, zaledwie jeden przystanek metra. Często więc w przerwie na lunch jeżdżę do Dzidzia w odwiedzinach. Siadamy sobie wtedy na workach z cementem, na kupie desek, na warsztacie stolarskim, gdzie komu wygodniej. Dzidzio jako najmłodszy parzy kawę, no i zaczynamy rozmawiać. O różnych rzeczach rozmawiamy - o kobietach, o polityce, o lądowaniu na Księżycu. Ale najczęściej mówimy o przyjeździe z Polski panny Witka, o tym jak ją Witek będzie odbierał na dworcu, co ma robić w czasie pierwszej nocy i żeby się nie zbłądził przypadkiem. Po prawdzie to robimy z niego balona. Ale co począć, jak się bez przerwy daje podpuszczać. Bo Witek jest chłopak szczery, naiwny, uczuciowy. Co w sercu u niego, to i na języku. Jak u każdego kresowianina - choć Witek zdążył właściwie tylko urodzić się na Wileńszczyźnie i zaraz potem rodzice przenieśli się na Ziemię Odzyskaną. Ale - jak powiada pan Henio - krew się z krwi rodzi i syn-córka charakter po ojcu-matce dziedziczy. I tak właśnie jest z Witkiem, a nawet gorzej jeszcze: żali ci się, zwierza, serce no ościerz otwiera, a potem nagle, ni z tego ni z owego, obrazi się, nachmurzy i w mordę strzeli. Później żałuje, przeprosza, piwo stawia, ale ma o jednego kumpla mniej. Nie, żeby kto miał żal do niego, ostatecznie każdemu może ręka drgnąć, ale kto zagwarantuje, że drugi raz, w przyszłości, to się nie powtórzy? W dodatku chłopaka kawał, więc jak uderzy - to boli mocno i długo. Niedawno w ognisku polskim narozrabiał, orkiestrę pobił i wykidając za drzwi wyrzucił. Teraz się tam nie może pokazać, odebrano mu prawo wstępu - fatalna sprawa.

Trzy lata jest już Witek tutaj, w Londynie, rok czeka na pannę, z którą ma się żenić, a której właściwie nie zna, bo przecież tylko z listów i z jakiejś zabawy w Malborku, na wolnym powietrzu, jeszcze z wojskowych czasów. Może ona się jeszcze w ostatniej chwili rozmyśli, rozpakuje walizki i do pociągu nie wsiądzie, w końcu dla kogo ma kraj porzucić, dla takiego wariata, co wszystkich leje? Tak przynajmniej judzi pan Henio, a Witek siedzi i martwi się.

- Chociaż niby - zaczyna obłudnie pan Stasio - koniec końców jest dla kogo przyjechać. Patrz pan, panie Mirek, jakie na ten przykład u niego włoski kręcone... Jak u

Murzyna. Jakżeśmy z armią na okupacji w czterdziestym piątym w Niemczech stojali, to dla tych kudłatych baby same majtki zdejmowały. Tylko czyś ty, Witek, już tych rzeczy nie zapomniał? Ja ci, Witek, powiem, za mocny w rękach jesteś. Kto w rękach mocny, gdzie indziej się okazuje słaby. Ty, Witek, odżywiać się teraz powinneś – jajek na bekonie pojeść, ze dwa litry mleka codziennie, sera białego, śmietany...

- Nie, nie, nie - powiada z kąta hrabia. - Tobie Witek nie wolno być swołoczą. Wojna to wojna, a pokój to pokój. Żyjemy w kraju cywilizowanym, o wysokiej kulturze i okazałbyś się ostatnim chamem, jakbyś tak od razu bezceremonialnie. Dziewczyna będzie zmęczona po podróży, więc trzeba do niej zrazu delikatnie, subtelnie, a nie z łapami jak do cepów. Najpierw, rozumiesz, w pokoju - bukiet kwiatów. Potem - daj się jej wyspać. Następnego dnia wycieczka po mieście, zwiedzanie Parlamentu albo coś w tym rodzaju, wreszcie - możesz do kina ją zabrać, a tam już w ciemnościach za rączkę weźmiesz, popieścisz, pocałujesz i tak w dżentelmeński sposób zbliżysz się do finalizowania...

Witek nic nie mówi, niby się śmieje razem ze wszystkimi, bo nie wypada o żarty się obrażać na kolegów, ale, widzę, że go powoli szlag trafia. Z drugiej strony: milczy, bo nie jest zupełnie pewny, czy to złośliwości, czy szczere, przyjacielskie rady.

Żal mi Witka. Właściwie - panna to już ostatni kontakt z krajem, to ktoś, kto go tam poważa, traktuje serio. (Ojciec przed trzema laty przysłał list, który zaczynał się od słów: „Kochany Synu! Jakiś był zawsze głupi, takeś i głupi pozostał...”). A już zupełnie inna sprawa, czy dziewczyna jest wartościowa, czy też dąży do tego ślubu, bo jej się nie Witek w Londynie marzy, tylko futra i samochody, tak jak Dżidziowi marzyło się nawiązywanie stosunków ze światem artystycznym, jak się jeszcze niedawno samemu Witkowi marzyły futra i samochody...

Tak czy inaczej, klamka zapadła. Jeszcze dzień, dwa i wszystko się ostatecznie wyjaśni, panna przyjedzie, to się zobaczy...

Właściwie, żeby odpowiednio naświetlić sprawę, trzeba by zacząć historię Witka-Rybaka od samego początku, otóż Witek chodził w Polsce z jedną dziewczyną. Poznał ją w Malborku, jak był w wojsku, no i - jak to mówią - zaczęła się miłość. Witek miał skończone siedem klas i zawód - rolnik przy rodzinie, dziewczyna miała maturę i była urzędniczką, ale to im wtedy jeszcze nie przeszkadzało. Była jeszcze koleżanka dziewczyny, zresztą - o niej później. Wszystko było pięknie do momentu, kiedy Witek wyszedł z wojska, a dziewczyna zapisała się na studia zaoczne. I tak niby nie wiadomo skąd, niby z niczego, on jej zaczął śmierdzieć. Już ona dla niego nie zawsze czas miała, podobno musiała nad skryptami siedzieć, na delegacje wyjeżdżać, zaczęła różne uniki robić, dość, że chłopak się zorientował, że coś nie gra. Że już jej klasowo nie odpowiada. Co tu robić? Na naukę za późno. Więc pomyślał, że jedyny ratunek to zrobienie dużych pieniędzy. A gdzie się duże pieniądze robi?

Ze granicą się je robi. I wtedy Witek nakreślił sobie plan długofalowy. Miał jakichś kumpli z wojaka na statkach rybackich, załatwili mu posadę pomocnika do wszystkiego na kutrze dalekomorskim. Podczas drugiego czy trzeciego rejsu Witek zszedł w Szwecji na ląd i więcej nie wrócił. Został „uchodźcą politycznym”. Jak przekonał władze szwedzkie o konieczności udzielenia mu azylu, czym zapłacił za zgodę na „wybranie wolności”, to już pozostanie jego prywatną tajemnicą. W Szwecji raju Witek nie miał, bo nie posiadał też żadnego zawodu. Był przecież niewykwalifikowanym rolnikiem i takim rybakim. Pojechał szukać szczęścia do NRF i tam mu się też nie wiodło. Tyle, że poduczył się murarstwa. Wreszcie trafił do Anglii. Tu udało mu się zaczepić w tym samym, co Dzijdio przedsiębiorstwie remontowo-budowlanym. Siedział tam między Anglikami i Polakami, do których się życie nie uśmiechnęło, w ciągu kilku lat nauczył się języka na tyle, że mógł porozumieć się w sklepie czy w restauracji. Zresztą jadał głównie w restauracjach, gdzie rozumiano po polsku, kupował w polskich sklepach, mieszkał u Polaków. Za to, co zarobił, kupował atrakcyjne ciuchy i wysyłał dziewczynie do Polski. No i oczywiście namawiał w listach, żeby przyjechała do niego, że tutaj i tylko tutaj jest prawdziwe życie i on na to życie potrafi zarobić.

Wszystko było niby na dobrej drodze, aż pewnego dnia przyszedł list od tej koleżanki dziewczyny, że tamta nie jest Witka warta, nie jest warta takiego chłopaka jak on, bo paczki, owszem, przyjmuje, co się jej podoba to na siebie wkłada, a resztę opyla po komisach i za te pieniądze zabawia się z różnymi facetami. Witkowi jak by ktoś w pysk dał, ale pomyślał „może to zawiść tylko”, i póki co, postanowił rzecz całą sprawdzić. Napisał list do swojego starszego brata, żeby pojechał do Malborka i zbadał sprawę. Brat pojechał, popatrzył, popytał. Okazało się, że wszystko zgadza się jota w jotę.

Więc cóż? Co trzeba było zerwać, zostało zerwane, a co trzeba było wypić - wypite. Ale ta koleżanka pisała dalej listy na różne inne tematy. Witek jej odpisywał - choć już paczek na wszelki wypadek nie wysyłał - i sławo do słowa, nagle okazało się, że koleżanka, to już nie koleżanka, tylko taka, co by chciała los swój związać z losem Witka. Nie było innej rady, jak tylko wysłać zaproszenie i zamówić obrączki...

Historia w miarę melodramatyczna, w miarę głupia, w miarę naiwna. Jak się dalej potoczą wypadki - nie wiadomo. Na razie czekamy na przyjazd panny, czasem robimy sobie zgrywę z Witka, a Witek siedzi na worku z cementem i uśmiecha się niezdecydowanie, a czasem popatruje spode łba. Kto wie, jak się wszystko ułoży? Może Witek się ożeni szczęśliwie i osiadzie na stałe w jakimś małym, zimnym pokoiku na Sheperd's Bushu, może się kiedyś dorobi własnego domku i samochodu, a może postąpi tak, jak marynarz, o którym mi niedawno opowiadał: zamelduje się któregoś dnia na polskim statku i - choć to brzmi

trochę zabawnie - powie: „panie kapitanie, zgrzeszyłem, cholera, ukarżcie, ale niech mnie pan zabierze do kraju”?

I nagle zaczynam rozumieć, dlaczego Witek tak pędzi Dzidzia do najcięższej roboty, dlaczego się nim stale wysługuje: Dzidzio ma bilet do kraju, w każdej chwili może ustalić datę wyjazdu!

Pierwodruk: „Kamena”, 1969, nr 23, s. 6-7.